

Antoni BEDNAREK

WŁAŚCIWE RZECZY NADAĆ SŁOWO

Historycy literatury dosyć często zauważają związek jaki zachodzi pomiędzy epoką a dominacją pewnych gatunków, będących jej specyficzną formą przekazu, adekwatną nie tylko wobec aktualnych doznań i niepokojów, ale również i określonego stylu autorefleksji, postrzegania rzeczywistości i metod jej interpretacji. I chociaż niekiedy można mieć zastrzeżenia, co do motywacji i prób wytłumaczenia tego zjawiska, nie sposób powątpiewać w jego istnienie. Współcześnie takie preferencje genologiczne zdają się mieć miejsce szczególnie w odniesieniu do eseju. Poszerza się krąg rozmaitych dziedzin humanistyki, które akceptują zasady tego gatunku, w nim starają się wyrazić własne dylematy. Powodzenie i skuteczność bywają zmienne, wybór nie zawsze odpowiedni. W jednym atoli przypadku uprawianie tej formy wypowiedzi zdaje się być szczególnie efektywne. Wówczas, gdy drogą rozległych, wieloźródłowych penetracji i swobodnej refleksji usiłuje się zidentyfikować, jeśli nie zasadniczy, to przynajmniej znaczący walor kondycji kulturowej naszej współczesności. W zapisanej swego czasu na łamach „Więzi” dyskusji na temat eseju, jeden z jej uczestników określił to następująco „... w naszym eseju najpełniej znajduje wyraz coś, co określić można jako samoświadomość kultury polskiej. Nie mieliśmy rozwijającej się swobodnie i w sposób ciągły polskiej filozofii, nasza historiografia poddawana była różnym presjom, życie polityczne

nie znajdowało swobodnego wyrazu. Dlatego uważam, że jeśli gdzieś znalazło się miejsce na rozpoznanie siebie to właśnie w eseju. Esej najpełniej reprezentuje samoświadomość naszej kultury” (Andrzej Bernat, „Więź” 1986, nr 2-3, s. 72).

Cała atrakcyjność eseju, co poświadcza zbiór tekstów Prokopa*, tkwi w otwartości, zarysie, fragmentaryczności, inicjowaniu czegoś, co można prowadzić dalej, rozwijać; po każdym spostrzeżeniu i refleksji może pojawić się jakieś „ale ...” – przedłużające ciąg skojarzeń, rozgałęziające myśl i aktywizujące także polemiczną czujność odbiorcy. Jako całość należy tę książkę zobaczyć w jej terapeutycznej roli. Chodzi o wyłuskanie tych wartości, które pozwalają na optymistyczną diagnozę współczesności. Właśnie taką, gdyż ciągle żywy jest proces „nieustannego dialogu wewnątrz naszej tradycji” (s. 19), co stanowi źródło nieobumierającej nadziei. I to jest współczesności największa przygoda. Aby nas, a także – jak przystało autentycznemu eseiście – i siebie przekonać, autor dokonuje oglądu rozmaitych historycznych „dopływów”, które ten stan obecny ukształtowały. Generalnie rzecz biorąc, cały ładunek refleksji oplata się wokół kultury, a nawet więcej, w ogóle życia polskiego, widzianych jako reprodukcja przemiennych zaprzeczeń, do-

* Jan Prokop, *Szczególne przygoda żyć nad Wisłą. Studia i szkice literackie*, Londyn 1985, ss. 174.

minium antynomicznej wrażliwości i równoważnej oboczności form i postaw. Ale nie należy tych rozważań traktować jako werdyktu rozpoznającego zjawisko w sposób kategoriowy, nadającego mu charakter formuły uniwersalnej. Chodzi raczej o rekonesans sygnalizujący pewne tendencje. Zabiegi te zresztą nie w każdym przypadku zdają się potwierdzać przypuszczenia autora, po prostu nie zawsze są do końca przekonujące. Owszem, bardzo wyraziste, nie wzbudzające wątpliwości są obserwacje dotyczące wielkich spraw historii, zbiorowości, rytualizacji narodowej mitologii, gromadnej wiary. Świetne jest uchwycenie polskiego wycucia równowagi między sacrum a profanum, wyobrażeniem a realnością („wydawać się” a „być”). Mówią o tym dwa szkice umieszczone na początku zbioru, tytułowy i drugi *Samosierra i Szliselburg*. W pierwszym z nich czytamy: „Gdy więc powieść współczesna każe swoim bohaterom dokonywać całopalenia na ołtarzu sprawy, bez trudu rozpoznajemy tu znany od pokoleń model. Ale jest to już dyskurs rozszczepiony, który wchłonął w siebie wszystkie sprzeczne głosy, cały ich polifoniczny chór. Śpiew kapłana i skrzek błazna, oba konieczne, gdyż drwina błazna odbiera kapłanowi napuszoną teatralność, wyziębłą formę nieautentycznego gestu, wiara zaś kapłana odbiera błaznowi jego grymas nihilizmu i rozpacz. Tak więc nauczywszy się podejrzliwości nie zgubiliśmy nadziei. Niewiara podtrzymuje naszą Wiarę” (s. 20).

Ale chyba mniej przejrzysta, a w każdym razie wielce dyskusyjna wydaje się być owa alternatywność, a tym bardziej jej komplementarny charakter, w kręgu problemów i tematów – określając umownie – bardziej prywatnej

natury. Myślę tu na przykład o toposie rodzinnego gniazda (szkic *Pod rodzinnym dachem*). Na miejscu Prokopa nie przeceniałbym zbyt młodopolskiego motywu antydomatorskiego, zważywszy jego specyficzny, bo do pewnego stopnia demagogiczny charakter i artystyczne propozycje, nie zawsze najlepszego gatunku. Dlatego też pozostał na dużo słabszej pozycji i trudno mówić o jego znaczącej alternatywności. Zdecydowaną jednostronność postaw widać też w literackich ujęciach doświadczeń indywidualnych, introspektywnych. Ułatwiona, jednowymiarowa penetracja „sytuacji granicznych”, zawsze prawie oswojonych podniosła motywacją, bez trudu poddających się „usensowieniu” – wymijająco obchodzi się z tajemnicą słabości człowieka, z bezradnością wobec drzemających w nim „piekieł”. W szkicu *Po co Genêt Sarmatom* autor wprowadzie potwierdza dominację tej jednostronności, próbując jednak i tutaj, zgodnie z założeniem przyświecającym jego poszukiwaniom, odnaleźć jakiś ślad mrocznych doznań, obecnych w zakamarkach „cnotliwych” Polaków. Wspomina o tragicznie intymnych przeżyciach Lechonia. Tylko tyle. Oczywiście niewiele, tym bardziej, że jak zauważa, przykład to nie wyartykułowany literacko, a więc i trudno uznać tu jego większe znaczenie. Może bardziej przemówiłoby dzieło Żeromskiego, niekiedy, w kilku przypadkach? Ale okazałoby się pewnie, że jego postaci też grzeszą raczej – rzecz by można – w wielkim stylu. W ogóle jednak uważam ten szkic za szczególnie ważny. Jest krótki, o wiele za krótki, jakby niedokończony. A mimowolnie jakby sygnalizuje kapitalne zjawisko, nad którym warto by pomyśleć. Chodzi o przypadłość pol-

skiej mentalności często objawiającą się w agresywnej pogardzie dla ułomności moralnej, inkwizycyjnym wręcz stosunku do upadku człowieka, niebezpieczny brak pokory wobec tajemnic kondycji ludzkiej, ograniczającej niekiedy odporność na zło. To właśnie ten brak pokory u Polaków tak drażnił Dostojewskiego (wspomniał o tym niedawno Miłosz w rozmowie z A. Fiu-tem, „Tygodnik Powszechny” 1989 nr 34). Czy nie bywa tak, że owszem jesteśmy w stanie okazać litość, nawet pomóc, ale nie zrozumieć, skłonić głowę w solidarnym współczuciu, szermując zawsze jakimś odcieniem uzurpacji do świętości, bycia „ponad”, w uprzywilejowanej pozycji tego nieskalanego?

Wróćmy jeszcze do wspomnianego już optymizmu, w którym książka Prokopa stara się nas utwierdzić. W trakcie lektury dostrzegamy jednak pewną rysę, a stabilność głównego przesłania ulega zachwianiu (autor nie przyznaje się do tego wprost, ale zdaje się taką refleksję „podpowiadać”). Otóż, jeśli nawet przyjąć tę koncepcję alternatywnej orientacji kultury polskiej, mimo wszystko rodzą się wątpliwości. Owszem, pozwala ona wprawdzie zachować równowagę sił, uruchamia mechanizmy ubezpieczające przed totalnością jednomyślności, ale czy nie jest tak, że na to miejsce wchodzi terror dwumyślności, zaklęte koło dialektyki. Najdobitniej ujawnia to szkic *W królestwie tautologii*, chociaż i tu autor znajduje łut optymizmu. Obnażając bezwzględność skrajności uniwersalizmu i nacjonalizmu, nadzieję dostrzega w wykorzystaniu tradycji romantycznej, nakazującej „podnieść narode do ludzkości”. Zwróćmy jednak uwagę, że czyni to w formie postulatywnej, świadom

braku potwierdzenia w dotychczasowej praktyce: „Ale zarówno oświeceniowy uniwersalizm, jak i antyoświeceniowy nacjonalizm są przykładem uzupełniających się krańcowości, którym po jednej i po drugiej stronie umyka ludzka rzeczywistość. Człowiek bowiem, jak wolno sądzić, jest zarówno członkiem określonej wspólnoty narodowej – czego doświadczenie jest nam wszystkim dane przeżywać dość intensywnie – jak i członkiem ponadnarodowej rodziny ludzkiej. Pogodzenie tych dwóch aspektów, aczkolwiek nie pozbawione trudności, wydaje się możliwe, a co więcej konieczne. Dlatego to widzenie narodu, które za Herderem ukształtowali nasi romantycy, może okazać się dziedzictwem cennym i wartym zachowania. [...] Są pewne szanse, że głos nasz mógłby być obecnie wysłuchany z większą uwagą niż w czasach Mickiewicza i Norwida” (s. 110).

Wchodząc w zakresloną przez rozważania Prokopa wizję polskości musimy dopuścić do głosu taką refleksję: winna nami kierować daleko idąca ostrożność, żyjemy bowiem od wieków w kręgu kultury skłonnej do radykalnych wyborów. Opozycyjność wzorców (kapłan – błazen, święty – grzesznik, społecznik – indywiduista, wytrwały – zbuntowany) kształtowały w znacznym stopniu ethos „bohatera” polskiej rzeczywistości (silnie oddziaływając na wyobraźnię polskiego inteligenta). Tak mało w niej form pośrednich, zachowań medytacyjnych, postaw: świadka, obserwatora, „człowieka myślącego”; słowem, wiele zaangażowania, mało twórczego dystansu. Przy czym owo zaangażowanie zbyt często, miast wyrażać się w ciągłej penetracji, poszukiwaniu, reinterpretacji doświadczeń i odczuć, ulega pokusie zideologizowania,

prawom instytucjonalnej krzepliwości. Uzasadniony więc jest niepokój, towarzyszący okresom przełomowym, zwiastującym rzeczy wielkie, szczególne nasilenie nowych inicjacji duchowych. Można to odnieść także do jednego z najciekawszych zjawisk doby obecnej, za jaki uznać należy bogactwo i rozległość religijnych inspiracji w rozmaitych dziedzinach kultury. Interesująco ujmuje to esej *Słowo święte i słowo sztuki*. Warto pośród wielu ciekawych spostrzeżeń dotyczących relacji sztuki i sacrum polecić taki oto passus: „Leżąca u podstaw twórczości niezgoda na skostnienie i martwość status quo, wieczne „nienasycenie”, niepokój poszukiwań (owo Augustynowe: niespokojne jest serce moje) będą zwracać się także przeciw wszelkim „zleniwieniom” ducha w Kościele, który jest mistycznym ciałem Chrystusa, ale także bardzo niedoskonałą instytucją, jak powiadają niektórzy, prawie workiem nieczystości czy Lewiatanem. Sztuka będzie więc

nieustannym krzykiem i jazgotem przeciw dobremu samopoczuciu kościelnej instytucji i wiernych Panu Bogu niedzielnym chrześcijan. Jeśli w zamian za przytułek zażądamy od niej lojalności instytucjonalnej – jak od szanującego sekrety firmy urzędnika – wyrwie się i ucieknie z kościelnej klatki, tak jak to już się stało na przełomie baroku i oświecenia” (s. 172).

Bardzo trudno zrecenzować książkę Prokopa w tradycyjnym rozumieniu tej czynności („odczytać”, ocenić, ewentualnie uzupełnić, itp.). Nie poddaje się ona takim zabiegom. Nie miałyby one sensu. Poetyka tych szkiców bowiem narzuca pewne reguły odbioru. Mamy do czynienia jakby z zapisem sygnałnym, który aktywizuje szereg nawarstwiających się w trakcie lektury problemów, pytań, przemyśleń. Niektóre tylko – korzystając z prawa do recenzenckiej selektywności – próbowano tu zaznaczyć.